


AGNIESZKA CHODKOWSKA-GYURICS



**OSTATNIA
SPRAWA**

LITERATE

ROZDZIAŁ 1

Babka bała się listów poleconych, matka – telegramów, a Joanna telefonów dzwoniących w środku nocy, takich jak ten, który obudził ją pamiętnej, lipcowej nocy.

Z ociąganiem wstała z łóżka i poczłapała do przedpokojku, żywiąc podświadomie nadzieję, że ten ktoś po drugiej stronie, kimkolwiek był, w końcu się rozmyśli. Niestety, komórka uparcie powtarzała durną melodyjkę. *Plum, plum, plum, plum-plum... Plum, plum, plum, plum-plum...*

Numer widoczny na wyświetlaczu niczego jej nie mówił. Nim zdążyła zdecydować, odebrać czy nie, telefon umilkł. Nie na długo. Po chwili znowu zabrzmiało znajome *plum... plum... plum*. Nieznana osoba nie dawała za wygraną. Z rezygnacją kliknęła ikonę zielonej słuchawki.

– Halo?

– Dobry wieczór. – Rozległ się wysoki, zdenerwowany, kobiecy głos. – Czy pani Joanna Tańska?

– Taaak... A z kim właściwie mam przyjemność? – odpowiedziała, jeszcze nie do końca rozbudzona.

– Przepraszam, powinnam się przedstawić. Pani mnie nie zna. Nazywam się Barbara Brodzka. – Głos drżał, rwał się, załamywał. Kobieta najwyraźniej z trudem dobierała słowa. Zdawało się, że nawet przypomnienie sobie własnego imienia sprawia jej trudność. – To wszystko... Nie wiem, od czego zacząć. Dzwonię od Heleny.

– Od Heleny? Jak to? – Joanna otrzeźwiała. Nagłe, nieokreślone złe przeczucie sprawiło, że po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. – Przecież to nie jest jej numer – dodała zdezorientowana, jakby w czasach Internetu i telefonów komórkowych numer był w jakikolwiek sposób przypisany do miejsca.

– Tak, od Heleny. To znaczy z jej mieszkania, ale ze swojej komórki. Czy mogłybyśmy się spotkać? Powiedzmy za czterdzieści minut, w McDonalddie na rogu, przy stacji benzynowej na Kościuszki. – Tym razem w głosie nieznamym słychać było determinację. Kolejne słowa wręcz wyrzucała z siebie jednym tchem, jakby bała się, że nie zdąży. Że ktoś jej przerwie, nie pozwoli dokończyć.

– Dobrze – automatycznie odpowiedziała Joanna i zanim dotarło do niej, co zrobiła, usłyszała trzask oznaczający koniec połączenia.

Nerwowo wystukała numer Heleny, aby zapytać, o co właściwie chodzi, ale nikt nie odebrał. Przez dłuższą chwilę stała oszołomiona, wsłuchując się w jednostajny sygnał, *tuuu... tuuu... tuuu...* Czekwała cierpliwie, aż do chwili, gdy mechaniczny, kobiecy głos oznajmił: „Abonent czasowo niedostępny”. W pierwszym odruchu chciała oddzwonić na numer tajemniczej nieznamym, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że Barbara Brodzka nic więcej przez telefon nie powie. Zrezygnowana, z westchnieniem, zaczęła się ubierać.

– Co ja wyprawiam? – zastanawiała się, jadąc pustymi ulicami. – Dzwoni do mnie jakaś nieznana baba, nie mówi, w czym rzecz, a ja gnam w ciemności na złamanie karku przez pół miasta. To chore.

Włączyła radio. Samochód wypełniły ciche dźwięki kwartetu smyczkowego. Na zewnątrz mżył drobny, uparty deszcz. Wycieraczki cicho odmierzały rytm podróży.

*

Helena. Starsza o kilka minut siostra Joanny. Podobno między bliźniakami istnieje jakaś tajemnicza, specjalna więź. Co jakiś czas w gazetach pojawiają się sensacyjne opowieści o rodzeństwie, które choć oddalone od siebie o setki kilometrów zachowywało się tak samo, wybierało ten sam zawód, w tym samym czasie zakładało rodziny, kupowało psy tej samej rasy i nadawało dzieciom takie same imiona. Być może to wszystko prawda, ale Joanna i Helena nic podobnego nie czuły. Rozdzielono je we wczesnym dzieciństwie, niedługo po tym, jak rodzice dziewczynek zginęli w wypadku. Joanną zajęła się rodzina matki, Helenę zabrała siostra ojca. Nigdy nie przyznano tego otwarcie, ale decyzję podjęto głównie ze względów finansowych. Żaden krewny nie czuł się na siłach ponieść kosztów utrzymania dwójki dzieci. Wobec takiego argumentu uczucia bliźniaczek zeszyły na dalszy plan. Kto by się zresztą liczył ze zdaniem czterolatek?

Rodziny nigdy specjalnie się nie lubiły, choć nikt nie potrafił właściwie powiedzieć dlaczego. Jeszcze za ży-

cia rodziców Joanny i Heleny spotkania ograniczono do niezbędnego minimum – chrzciny, pogrzeby, śluby i wymiana kartek świątecznych dwa razy do roku, a po ich śmierci ustały nawet te sporadyczne kontakty. Nikt też nie zadbał o to, by dziewczynki mogły się bliżej poznać. Owszem, wiedziały o swoim istnieniu, owszem, początkowo tęskniły, dopytywały się o siebie, ale z czasem wspomnienia straciły ostrość, pozostała tylko pozbawiana jakichkolwiek emocji wiedza.

Żyły tak aż do trzydziestych piątych urodzin, gdy powodowana nagłym impulsem Helena postanowiła odnaleźć siostrę. Ku zdumieniu obu kobiet okazało się, że od pewnego czasu mieszkają w tym samym mieście. No prawie tym samym: Helena, nie bacząc na cenę, kupiła niewielkie mieszkanie w samym centrum, w gomułkowskim bloku zwanym popularnie szarą szafą, podczas gdy Joanna wybrała kanadyjski dom na przedmieściach, w rejonie, który co prawda miał jakąś oficjalną nazwę, ale i tak wszyscy mówili o nim po prostu „Osiedle”. Początkowa euforia i towarzyszące spotkaniu po latach podniecenie szybko przerodziły się w rozczarowanie. Po pierwszej wymianie uprzejmości: „Ach, jak wspaniale wyglądasz”, „Co u ciebie”, „Świetna sukienka”, „Musisz mi zapisać adres twojego fryzjera”, zapadała krępująca cisza. Brakowało tematów do rozmowy. Każda z nich, będąc już przecież panią w wieku określanym delikatnie jako balzakowski, miała swój świat, swoje życie. Dzieliło je wszystko – zainteresowania, styl życia, zawody. Joanna była tłumaczem, Helena – grafiką komputerową. Nie miały ani

wspólnych znajomych, ani chociażby wspomnień łączących zazwyczaj bliskie sobie osoby. Zabrakło nawet ratującego w takich sytuacjach konwersację, nieśmiertelnego: „A pamiętasz jak...?”. Nic ich nie łączyło poza genami. Zaniechały więc rozpaczliwych wysiłków, ograniczając znajomość przez kolejne lata do sporadycznych rozmów telefonicznych i jeszcze rzadszych, kurtuazyjnych wizyt. Nawet czterdzieste urodziny świętowały oddzielnie.

*

– O kurczę! – Zahamowała z piskiem. W zamyśleniu o mały włos nie ominęła jasno oświetlonego budynku McDonalda. Zaparkowała. Kuląc się z zimna, przebiegła truchtem kilka metrów, ale i tak zdążyła przemoczyć buty, nim weszła do pełnego ludzi, gwarne go mimo późnej pory pomieszczenia. W nos uderzył ją odpychający zapach mokrych ubrań zmieszany z wonią smażonego mięsa i frytek. Nieprzyjemne odczucie jeszcze spotęgowało wątpliwości. Co ja tu robię? – pomyślała, czując narastającą falę irytacji zmieszanej z bezradnością. Stała przy drzwiach, rozglądając się nieporadnie.

Siedząca w kącie nad kubkiem herbaty szczupła kobieta wstała gwałtownie i zdecydowanym krokiem ruszyła ku Joannie. Miała długie, proste, blond włosy. Ubrana w dzinsy, koszulową bluzkę i buty na płaskim obcasie nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat.

– Dziękuję, że pani przyszła – wyciągnęła rękę na powitanie. Dłoń miała chłodną i drżącą. – Usiądźmy, proszę.

– Skąd... – chciała zapytać Joanna, ale przerwała po pierwszym słowie. – No tak, nietrudno mnie rozpoznać, jeśli zna się Helenę – zaśmiała się nerwowo. – Tak, tak. Siądźmy.

Chwilę siedziały w milczeniu, taksując się wzrokiem.

– Dawno nie było tak chłodnego lata. Niby lipiec, a zimno jak w listopadzie. I ten deszcz.. – Żałosna próba wybrnięcia z niezręcznej sytuacji spaliła na panewce. Obca nic nie odpowiedziała, nie zdobyła się nawet na zdawkowe „tak” albo „nie”. Nieruchoma, blada, zapatrzona tępo gdzieś w przestrzeń, wyglądała niczym figura woskowa.

– A więc, o co chodzi? – zapytała Joanna, widząc, że tamta ociąga się z rozpoczęciem rozmowy. Wyszło to jakoś niegrzecznie, wręcz grubiańsko.

– Helena nie żyje.

– Co?!

– Nie żyje. Dopiero co ją znalazłam.

– Jak to znalazła pani? Co się stało? Wypadek, napad czy co? I dlaczego to pani mi o tym mówi, a nie pogotowie czy policja? – zapytała zaskoczona Joanna.

– Ja... ja... nie zawiadomiłam jeszcze policji – wyjąkała nieznajoma. – Zupełnie straciłam głowę. Nie wiedziałam, co robić. To może opowiem wszystko po kolei, a potem postanowimy, co zrobić?

– Tak. Oczywiście – odparła oszołomiona Joanna.

– Ja i Helena przyjaźnimy się... to znaczy przyjaźniłyśmy się od kilku lat. Pracowałyśmy razem. Ostatnio miałyśmy spore zaległości, więc nadganiałyśmy wieczorami. Najczęściej u niej, bo ja mieszkam z rodzicami i siostrą, a mieszkanie mamy małe. Dziś też się umówiłyśmy

– przerwała, zaciskając nerwowo dłonie na papierowym kubku. Po chwili podjęła opowieść. – Przyszłam kilka minut przed ósmą, tak jak się umówiliśmy. Dzwoniłam, pukałam, ale nikt nie otwierał. Pomyślałam, że gdzieś wyszła. Zezłościłam się, bo zmokłam, było mi zimno, chciałam zdjąć mokre buty i napić się czegoś ciepłego. Na szczęście kilka dni temu dała mi klucze. Bo widzi pani, mieszkam daleko, z drugiej strony miasta, nie ma sensu, żebym po pracy jechała do domu i potem wracała. No tak, ale to nieważne – rzuciła, widząc grymas zniecierpliwienia na twarzy Joanny. – Zrobiłam sobie herbatę, wróciłam do pokoju i czekałam. Coś tam zaczęłam dłużyć na laptopie i ani się obejrzałam, jak minęły dobre trzy godziny z okładem. Tak mam, że jak się wezmę do roboty, to świat dla mnie przestaje istnieć. Pewnie dłużej bym tam siedziała, ale musiałam pójść do łazienki. Ciągłe jeszcze niczego nie podejrzewałam. Teraz widzę, że to głupie. Przecież byłyśmy umówione. Helena mogła się spóźnić kwadrans, no pół godziny, ale nie tyle! Ale to przez tę robotę. Ja jak zacznę... – przerwała. Machnęła ręką, jakby sama siebie chciała skarcić. – Dopiero w łazience zaczęło do mnie docierać, że coś jest nie tak. Zdziwiło mnie, że wanna cała jest pełna ubrań, jakby ktoś szykował ogromne pranie. To nie w stylu Heleny, ona jest... była schludna, aż do przesady. Wszystko miała zawsze poukładane równiutko. Już miałam wyjść, gdy zauważyłam, że spod szmat wystaje ręka. Dotknęłam jej – była zimna – znowu przerwała i desperackim ruchem wlała do gardła herbatę tak, jakby to była wódka.

Milczały, wpatrując się w blat stołu. W końcu Joanna przerwała ciszę.

– Ale dlaczego nie zadzwoniła pani na policję? Albo na pogotowie? – zapytała, mimowolnie podnosząc głos.

Siedząca przy sąsiednim stoliku nastolatka odwróciła się i zmierzyła ją zaciekawionym wzorkiem. Nie dostrzegła jednak niczego interesującego i po chwili wróciła do frytek.

– Przestraszyłam się. Nie wiedziałam, co robić. W głowie miałam pustkę. Wróciłam do salonu i siedziałam, patrząc w ścianę. Nie wiem, jak długo. I nagle przypomniałam sobie, że Helena miała notes z adresami i telefonami znajomych. Taki relikw z czasów sprzed komórek. Pokazała mi go kiedyś. Niewinne, drobne dziwactwo. Archaizm, ale była do niego przywiązana. Żartowała, że to jej *backup* na wypadek utraty telefonu. Znalazłam pani numer, zadzwoniłam i czekałam.

– To dlatego nikt nie odebrał mojego telefonu – mruknęła Joanna, a po chwili dodała – widziała pani tylko dłoń, prawda?

– No tak. Od razu uciekłam z łazienki.

– Może to wcale nie ona. – Joanna dostrzegła promyk nadziei i uczepliła się go z determinacją. – Może to wcale nie ona – powtórzyła.

Znowu zapanowała cisza. Sala powoli pustoszała, gwar rozmów ucichł, słyhać było tylko uderzające w szybę krople deszczu.

Do stolika podeszła młoda dziewczyna. Na piersi miała przypiętą tabliczkę z napisem „Agata”.

– Przepraszam – powiedziała bardzo cicho. – Zamykamy o drugiej.

Barbara zerknęła na zegarek.

– Jest za dwie – powiedziała ni to do siebie, ni to do kelnerki. – Już się zbieramy – dodała, starając się uśmiechnąć, ale mimo wysiłków na twarzy pojawił się jedynie żaloszny grymas.

*

Szły w milczeniu, powoli, nie zważając ani na siąpiący deszcz, ani chłodny wiatr. Po chwili skręciły w boczną uliczkę skąpo oświetloną błękitnym światłem samotnej latarni. Wokół było pusto, pogoda i późna pora zagnały do domów nawet najwytrwalszych nocnych marków. Tylko w nielicznych oknach widać było światło. Osiedle spało.

Gdy stanęły pod drzwiami, Joannę ogarnął paniczny strach. Nagle dotarło do niej, że to wszystko dzieje się naprawdę, że dotyczy jej, a nie kogoś innego.

Wilgotne dłonie, kropelka potu spływająca po skroni, dziwny chłód.

Miała ochotę uciec, zaszyć się w najdalszym kącie i zapomnieć o wszystkim. O mało nie zemdlała, gdy Barbara przekręcała klucz w zamku. Skrzypnęły drzwi. Kolejny głęboki wdech. Chwila wahania. Zaciśnięte pięści. Jeszcze jeden wdech i decyzja. Ze straceńczą determinacją, niczym skazaniec wstępujący na szafot, weszła do środka.

Rozejrzała się dookoła. Mieszkanie wyglądało najzwyczajniej na świecie. Wokół panował ład i porządek.

Zasłony starannie zaciągnięte, na stoliku, obok fotela równo poukładane gazety. Obok nich stała pusta filiżanka na spodeczku, o którego krawędź oparto łyżeczkę, taką jakie sprzedają w sklepach z pamiątkami na całym świecie: z rączką zakończoną kiczowatym obrazkiem zwieńczonym napisem „Croatia”. Gdyby nie to, można by pomyśleć, że nikt tu nie mieszka. Wzięła kolejny głęboki wdech i ruszyła w stronę łazienki. Na widok dłoni wystającej spod sterty ubrań cofnęła się odruchowo, ale natychmiast zapanowała nad sobą. Szybkimi, nerwowymi ruchami zaczęła zdejmować kolejne rzeczy, rzucając je chaotycznie na podłogę: rozciągnięta koszulka, płócienne spodnie, poplamiony szlafrok, stary ręcznik, jeszcze jeden ręcznik, kolejna koszulka, bielizna, znowu koszulka. W końcu zobaczyła twarz. To była Helena. Ostatnia iskierka nadziei zgasła.

*

To, co było dalej, Joanna pamiętała jak przez mgłę. Jacyś ludzie krążyli po mieszkaniu, zadawali mnóstwo pytań, ktoś zrobił jej herbatę, ktoś odwiózł do domu.

*

Komisarz Pucki zrezygnowanym wzrokiem wpatrywał się w stertę zalegających na biurku dokumentów. Do emerytury zostało mu niecałe pół roku i miał szczerzy zamiar przeczekać je, zajmując się papierkową robotą i planując

kariere w firmie ochroniarskiej. Niestety, w samym środku sezonu wakacyjnego, gdy z powodu licznych urlopów komenda świeciła pustakami, Matuszkiewicz nie wytrzymał upałów i wylądował w szpitalu. Nie było szans, że wróci do służby wcześniej niż za dwa miesiące. I tak oto Puckiemu przydzielono ostatnie w karierze śledztwo. Sprawa śmierci Heleny Rubiszewskiej,

Sytuacja nie wyglądała dobrze. Komisarz wiedział z doświadczenia, że większość spraw albo zostaje rozwiązana w ciągu dwudziestu czterech godzin, albo wcale. Wyrafinowane morderstwa zdarzają się głównie w książkach, rzadziej w kinie, za to w życiu – prawie nigdy. Rzeczywistość jest niezbyt romantyczna. Najczęściej trafiają się zbrodnie prostackie, popełnione po pijaku albo w ramach bandyckich porachunków. A jeśli już szary obywatel zdobędzie się w akcie desperacji na taki krok, to z reguły przestępcą okazuje się ktoś z najbliższych – mąż, żona, zięć, czasem ktoś z bliskich znajomych. W tym wypadku rodzinę można było praktycznie wykluczyć. Denatka mieszkała sama, jako takie stosunki utrzymywała z ciotką mieszkającą pod Jelenią Górą, ale z powodu znacznie odległości od wielu lat spotykała się z nią stosunkowo rzadko. Była jeszcze siostra bliźniaczka, ale z nią też, o dziwo, ofiara spotykała się tylko sporadycznie. Początkowo wydało się to niewiarygodne, ale wszyscy świadkowie zgodnie potwierdzili tę wersję. Trudno było przypuszczać, że kilka zupełnie niepowiązanych ze sobą osób zawiązało spisek mający na celu wprowadzenie Puckiego w błąd.

Z westchnieniem otworzył raport z sekcji zwłok. Przeczytał ich w ciągu dwudziestu lat pracy dziesiątki, a może nawet setki, ale wciąż nie mógł opanować złości, przekopując się przez kartki wypełnione zupełnie zbędnymi informacjami. Kolejne strony opisujące bardzo szczegółowo, czego nie stwierdzono. Narkotyków nie stwierdzono. Alkoholu nie stwierdzono. Śladów gwałtu nie stwierdzono. I tak dalej, i tak dalej. Niby wiedział, że są to bardzo ważne informacje pozwalające odrzucić mylne tropy, niby wiedział, że podstawą pracy patologa są skrupulatność i przestrzeganie procedur, ale czy nie można by zacząć od tego, co jednakowoż stwierdzono? Kolejna strona i kolejna, a czas płynął.

Lekarz sądowy jednoznacznie wykluczył możliwość śmierci naturalnej.

– A to ci nowina – prychnął Pucki. – A ja myślałem, że baba ubrała się w wyjściowe ciuchy, zrobiła makijaż, weszła do wanny, nakryła brudnymi gaciami i czekała, aż ją ktoś znajdzie – mamrotał, wertując raport w poszukiwaniu istotnych danych.

Z opisu wynikało, że denatka za życia była okazem zdrowia – żadnych zwyrodnień organów wewnętrznych ani systemu kostnego. Lekarz wspominał o jednej interwencji chirurgicznej – kilka lat temu przeszła operację cesarskiego cięcia.

Na twarzy Puckiego po raz pierwszy tego dnia pojawił się uśmiech. Wyciągnął z szuflady ukochany notes – temat dowcipów wszystkich młodszych, zakochanych w komputerach kolegów – i dużymi, wyraźnymi literami wpisał

„Dziecko”. Popatrzył na swe dzieło i po chwili dopisał jeszcze dwa wykrzykniki.

– Trzeba dowiedzieć się, co z tym dzieckiem – mamrotał, notując.– Dlaczego w mieszkaniu nie było nawet fotografii? Gdzie teraz jest? Czy żyje? – Wszystkie pytania zapisywał starannie jedno pod drugim w notesie.

– Sam dzieciak nic mi nie powie – kontynuował – ale jeśli go znajdę, może doprowadzi mnie do innych członków rodziny. Była panna, może ojciec dziecka miał żonę, drugą rodzinę, szantażowała go albo domagała się pieniędzy?

Uśmiechnął się z zadowoleniem i dopisał do listy pytań: „Kto jest ojcem?”

W końcu uznał temat za wyczerpany i powrócił do lektury raportu.

Wybroczyny podsiatkówkowe... Zasinienienia... Prowadzi to do jednoznacznej konkluzji, że bezpośrednią przyczyną śmierci było zagardlenie. Mechaniczne uciśnięcie narządów szyi...

– Czyli po bożemu, ktoś ją udusił gołymi rękami. I ten nieznośny styl. „Prowadzi do jednoznacznej konkluzji”! – Pucki burknął po nosem, odsunął dokument na bok, rozłożył na biurku zdjęcia i przez dobry kwadrans wpatrywał się w nie. W końcu westchnął i z rezygnacją wykręcił numer patologii. Odebrał doktor Jamski, zwany pieszczotliwie „dziadkiem”. Żywa legenda. Pasjonat, który nie wyobrażał sobie życia bez pracy, odparł skutecznie niejedną próbę przeniesienia w stan spoczynku. Był uznanym patologiem z niemałym doświadczeniem już wtedy, gdy komisarz – wszak też nie młodziak – rozpoczynał karierę w policji. Pracowali razem nad niejedną sprawą.

– Cześć, chciałem pogadać o raporcie z sekcji.
– Chodzi ci o tę uduszoną?
– Tak, czytałem, co napisałeś, oglądałem zdjęcia, ale chcę, żebyś potwierdził. Czy jest możliwe, że dusiciel zaszedł ją od tyłu?

– Nie sądzę, ślady na szyi są bardzo wyraźnie. Bez trudu można odtworzyć ułożenie rąk.

– Brak naskórka pod paznokciami, nie broniła się?

– Znowu nie doczytałeś do końca! Wyraźnie napisałem, że pod paznokciami znalazłem tylko odrobinę naturalnego włókna. Odesłałem do laboratorium, żeby określili, co to, ale sam wiesz najlepiej, że to nędzny ślad. Facet zawsze może się bronić, że kupił ubranie w supermarkecie i setki ludzi nosi takie samo.

– Powiedziałeś, „facet”? – Komisarz ożywił się.

– Sądząc po śladach na szyi, raczej tak. Ale przed sądem nie przysięgnę. Teoretycznie mogła być kobieta o bardzo dużych dłoniach. – Zaśmiał się ironicznie.

– Poraża mnie twoje poczucie humoru.

– A poważnie, zastanawia mnie jedna rzecz. Wygląda, jakby się wcale nie broniła. Powinna mieć połamane paznokcie, że o tych nieszczęsnych resztkach naskórka nie wspomnę. Żadnych siniaków, żadnych śladów walki. Jakby po prostu stała i czekała, aż ją udusi.

– Może była pod wpływem środków odurzających? Albo ją związał?

– Masz jeszcze jakieś pomysły? – prychnął Jamski. – Za kogo ty mnie masz?! Za studenta pierwszego roku?! Myślisz, że pominąłbym to w raporcie!

– Przepraszam, stary, ale to brzmi idiotycznie. Wyobraź sobie tylko: ktoś cię dusi, a ty stoisz jak słup soli i co? Uśmiechasz się? Konwersujesz uprzejmie?

– Dobra, powiem ci, co o tym myślę. Ale zapamiętaj, mówię to prywatnie, w razie czego się wyprę. Sądzę, że była z gatunku sado-maso. Pewnie zabawiała się ze swoim facetem i trochę przeholowali. Gość się wystraszył i uciekł. Co prawda nie znaleźliśmy żadnych śladów stosunku, ale przecież wszystko mogło się wydarzyć, zanim przystąpili do rzeczy. Wiesz, taka gra wstępna. – Zachichotał lubieżnie.

– Ale po co wsadził ją do wanny? I przykrył szmatami?

– Za zboczeńcami nie trafisz – odparł z przekonaniem Jamski. Mimo podeszłego wieku był człowiekiem o szerokich horyzontach, otwartym na nowe idee. Nie dotyczyło to tylko jednej sfery życia. W sprawach seksu był tradycjonalistą. Mentalnie tkwił w epoce wiktoriańskiej. To on był autorem wiekopomnego zdania wygłoszonego podczas dyskusji o homoseksualizmie: „Jako lekarz rozumiem, jako obywatel nie akceptuję”. Nic więc dziwnego, że w jego mniemaniu, po ludziach „robiących te rzeczy inaczej” można się było spodziewać wszystkiego. Ukrywania zwłok w wannie też.

Pucki nie podjął dyskusji. Porozmawiał jeszcze przez chwilę z Jamskim, podziękował za informacje i odłożył słuchawkę.

Był to jakiś krok naprzód. Wiedział teraz przynajmniej, że zabójca był mężczyzną. Nie mógł odrzucić wersji zaproponowanej przez lekarza – niezbyt w nią wierzył, ale

zawsze było to coś, co mógł w razie czego zaprezentować przełożonym.

– A więc szukamy napalonego kochanka – mruknął, choć tak naprawdę szczerze w to wątpił, jednak szefowi coś trzeba było powiedzieć.

ROZDZIAŁ 2

Niewielka grupka tłoczyła się nad świeżo wykopaną mogiłą. Nawet niewprawny obserwator już na pierwszy rzut oka odgadłby, że żałobnicy są to ludzie zupełnie sobie obcy. Ot, taka dość przypadkowa zbieranina, osoby, które spotkały się po raz pierwszy i, najprawdopodobniej, ostatni.

Mały, niedawno jeszcze podmiejski, a obecnie wchłonięty przez aglomerację cmentarz od kilku lat był praktycznie zamknięty, ale Joannie udało się ubłagać proboszcza i zdobyć miejsce w cieniu ogromnej, starej, pełnej dostojństwa lipy.

Ksiądz Janusz, człowiek wielkiej dobroci i niezmiernie cierpliwości, był postacią niezwykle barwną. Od dziecka kochał muzykę. Już jako nastolatek, z własnej woli, bez poganiania, spędzał godziny, doskonaląc grę na skrzypcach. Miał wszystko: talent, umiejętności, pracowitość i tę iskrę bożą, która różni grajka od artysty. Wróżono mu ogromną karierę. Nieoczekiwanie w połowie trzeciego roku rzucił konserwatorium i wstąpił do seminarium. Po święceniach był przerzucany z parafii do parafii, aż w końcu trafił do Szajmowa. Tu znalazł swój sposób na życie. Tu spotkał obie swe miłości i obu mógł służyć: muzyce i Bogu.

Chór, który założył, składał się początkowo z kilkorga zapaleńców – głównie znudzonych gospodyń do-

nowych w średnim wieku gotowych na wszystko, by tylko na kilka godzin tygodniowo wyrwać się z szarej codzienności. Rozrastał się jednak, powoli, acz systematycznie, i z czasem stał się nie tylko ozdobą niedzielnych mszy, ale także chlubą, najpierw parafii, potem gminy, a w końcu zasłynął w całym województwie, wygrywając kilka regionalnych i ogólnopolskich konkursów. Joanna, choć głos miała przeciętny, w chórze śpiewała od samego początku – na solistkę się nie nadawała, ale była sumienna, nie opuszczała prób i, czym najbardziej zaskarbiła sobie względy proboszcza, nie żałowała czasu na wyszukiwanie nowych pieśni wzbogacających repertuar. Gdy więc pełna obaw zwróciła się do księdza z prośbą, ten po chwili namysłu uśmiechnął się i odparł:

– Moje dziecko, ciasno tu u nas, oj, ciasno, ale mam jedną małą kwaterę w starej części cmentarza od północnej strony. Daleko od bramy, ale może ci się spodoba...

I tak oto stał teraz nad mogiłą, polecając Bogu duszę kobiety, której nigdy za życia nie widział. A jednak modlił się za nią szczerze, całym sercem, pełen wiary, że ludzie, choć czasem błędzą, są dobrzy, a więc i ta owieczka z pewnością zasłużyła na radość w domu Pana.

Joanna słuchała go niezbyt uważnie. Całą uwagę skupiła na żałobnikach. Większości z nich nie znała. Rozpoznała Barbarę oraz siostrę ojca, domyśliła się też, że stojący obok niej mężczyzna w kiepskim, źle skrojonym i mocno już zużyтым garniturze, ukradkiem ocierający spływający po twarzy pot, to pewnie drugi, poślubiony niespełna dwa lata temu, mąż ciotki. Trzy starsze panie, jakby żywcem

wyjęte z lat siedemdziesiątych, nie kojarzyły jej się z niczym, podobnie jak wyglądająca na ich dzieci grupka młodych ludzi. Taką samą zagadką był młodzieniec w dziwnej, płóciennej, seledynowej szacie przypominającej krojem arabską galabiję. Ale, o dziwo, to nie on najbardziej przyciągnął uwagę Joanny, ale szpakowaty pan około czterdziestki stojący nieco z boku, jakby niepewny, czy znalazł się we właściwym miejscu. Elegancki strój, niezwykle prosty, a jednak niepozostawiający wątpliwości, że ta przemyślana w każdym calu prostota musiała kosztować majątek. I oczy. Zimne, pewne siebie, pełne smutku, bólu, a jednocześnie pogardy i nienawiści. Tak musiał wyglądać Heathcliff – pomyślała Joanna, z trudem odrywając wzrok od nieznanego, by powrócić do dalszego lustrowania gości. Zatrzymała spojrzenie na niepozornej, niskiej postaci okutanej w tandetną, ortalionową kurtkę. Mężczyzna stał z dala od głównej grupy, częściowo ukryty za pnem drzewa. W dłoniach niezdarnie miętosił sfatygowany, czarny берет. Jako jedyny wyglądał na naprawdę zmartwionego. Nagle skulił się jeszcze bardziej, schylił głowę i cofnął dwa, trzy kroki, znikając całkiem za rozłożystą lipą. Może zauważył wbity weń wzrok Joanny i poczuł się nieswojo? A może był to tylko przypadek?

– Mój Boże, co się ze mną dzieje? – zachnęła się. – Przecież to pogrzeb mojej siostry. A ja nic nie czuję. Kompletnie nic. Jakbym uczestniczyła w przedstawieniu albo oglądała film. Urządzam sobie zgadywanekę. Chociaż... zawsze tak było. Ludzie obok mnie pojawiają się, trwają przez chwilę i znikają, a mnie martwi to mniej niż prze-

mijanie pór roku. Bardziej tęsknię za minionym latem niż za utraconymi przyjaciółmi. Gdy odchodzą, przybieram smutny wyraz twarzy, powtarzam, jak mi smutno, jaka jestem niepocieszona, a przecież nie czuję nic. Kompletnie nic. Teraz też stoję ze zboląłą miną, wystrojona w czarny trencz, czarny szal i toczek z woalką – ach, jakie to eleganckie! – ale kogo chcę oszukać i po co? Siebie? Ciotkę, którą zobaczę ponownie za kilka lat, a i to, jak dobrze pójdzie? Czy jestem tak zakłamaną?

Do rzeczywistości przywrócił ją odgłos ziemi padającej na trumnę. Minęło jeszcze kilka chwil i uroczystość dobiegła końca. Grabarze skończyli pracę, pokryli mogiłę kwiatami i dyskretnie się wycofali. Ksiądz Janusz podążył w ich ślady.

Joanna stała tuż obok ciotki, uprzejmie odpowiadała na zdawkowe kondolencje, dziękowała mechanicznie niczym porządnie nakręcony automat, cały czas czując się nie jak uczestnik wydarzeń, ale jak postronny, przypadkowy widz.

– Mamo, chodźmy! – usłyszała lekko zniecierpliwiony, cichy głos.

– Momencik, synku, chcę jeszcze porozmawiać z ciotką – odparła. – Ciotka wejdzie do nas na chwileczkę, na kawę i ciasto, prawda?

– Niestety, kochanie, ostatni pociąg mam za godzinę.

– Niech ciotka u nas przenocuje. Mam wolny pokój, mąż jest w rejsie. Ostatnio awansował na pierwszego mechanika – namawiała bez przekonania, w duszy modląc się, by ciotka nie zmieniała zdania. Wizyta dawno niewidzianej krewnej, sztywna rozmowa o niczym, udawanie

zainteresowania, to były ostatnie rzeczy, na jakie miała w tej chwili ochotę.

– Nie, nie, naprawdę nie mogę. Dziękuję ci bardzo, dziecko. Za wszystko. Chodźmy, kochanie – zwróciła się do spoconego, zmęczonego męża i oboje szybkim krokiem ruszyli ku bramie.

Nie przebrzmiał jeszcze odgłos ich kroków, gdy za plecami Joanny rozległ się teatralny szept:

– Mamo, to ja też już pójdę.

– Dobrze syneczku, oczywiście – odparła. – O której wrócisz?

– Jakoś tak wieczorem, pa!

Joanna została sama na szerokiej, żwirowej alejce. Odechnęła z ulgą.

*

Wyjeżdżając z przycmentarnego parkingu, zauważyła stojącą na przystanku Barbarę. Zatrzymała się, otworzyła okno i zawołała:

– Może wpadnie pani do mnie na chwilę? Zapraszam na kawę, rozgrzejemy się. Dobrze nam to robi.

– No nie wiem, nie chcę robić kłopotu.

– Żaden kłopot, wręcz przeciwnie, miło będzie z kimś porozmawiać, powspominać Helenę.

– Dobrze – zgodziła się po chwili wahania. – Prawdę mówiąc, nigdzie mi się nie śpieszy.

*

– Ze śmietanką czy z mlekiem? – dobiegł głos z kuchni.

– Czarną, bez cukru, poproszę.

Usiadły, a raczej zapadły się w ogromnych, skórzanym fotelach. Przez moment panowała niezręczna cisza. Po chwili Joanna podjęła rozmowę:

– Może przejdziemy na ty? – zaproponowała. – Strasznie nie lubię konwenansów.

– Z przyjemnością. – Barbara niezbyt zachwycona i kompletnie zaskoczona propozycją nie miała innego wyjścia, jak tylko się zgodzić. Od Joanny dzieliła ją przepaść całego pokolenia. „Tykanie” wydawało się jakiejś takie pretensjonalne. Ale cóż było robić? Nie chciała wyjść na sztywniaczkę.

– No to bez kieliszka się nie obejdzie. – Gospodyni podeszła do barku i zaczęła przeglądać butelki. – Wódki nie mam, zresztą i tak byłyby ciepła. To co, wino czy koniak?

– Może odrobinę koniaku...

– Dziękuję, że przysłaś. – Joanna podjęła przerwana rozmowę, nalewając jednocześnie koniak do pękatych kieliszków ozdobionych u góry cienkim, złotym paskiem – i że zawiadomiłaś znajomych. A propos, kim byli ci ludzie?

– Którzy?

– No tak, głupie pytanie – zaśmiała się nerwowo. – Prawdę mówiąc, nie znam większości z nich...

– Rozumiem. A więc tak... Były tam trzy kobiety z dziekanatu, to one chyba powiadomiły studentów. Swoją drogą, ciekawe, jak ich dopadły w środku wakacji.

– Ci młodzi ludzie to jej studenci, tak? – upewniła się Joanna.

– Tak, Helena prowadziła jakiś duży grant. Pomagali jej. Dopiero rozkręcała pracę, więc nie wiem dokładnie, czego dotyczył.

– A ten dziwak w seledynowej sukience? – Nie mogła powstrzymać niestosownego chichotu. Koniak najwyraźniej zaczynała działać.

– Nie wie pani? To znaczy, nie wiesz? – poprawiła się, czując na sobie karcące spojrzenie Joanny.

– O czym?

– Helena przez jakiś czas należała do sekty. Jakże się oni nazywali... „Prawdziwe światło”... „Światło prawdy”... Jakoś tak. A, już wiem! „Promień prawdy”. To było tak ze trzy, cztery lata temu. Może nawet więcej. Hmm... ich też nie zawiadaniałam. Ty chyba też nie?

– Ależ skąd. Nawet o nich nie wiedziałam. Wiesz co! – krzyknęła podekscytowana – to na pewno oni. Zabili ją za to, że odeszła!

– No nie wiem. Po co by czekali tyle lat? I do tego pchali się na pogrzeb? Chyba za dużo naoglądałaś się telewizji.

– Pewnie masz rację. Jeszcze po jednym? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, ponownie napełniła kieliszki.

– Zresztą nie sądzę, żeby byli groźni – kontynuowała Barbara. – Helena trochę mi o nich opowiadała. To była tylko banda znudzonych, zblazowanych smarkaczy szukających rozrywki. Szybko ich rozgryzła i zerwała wszelkie kontakty.

– Wiesz o Helenie więcej niż ja – powiedziała Joanna w zadumie. – Nie potrafiłam się do niej zbliżyć. A teraz jest za późno. Tyle bym się chciała dowiedzieć – westchnęła.

– Wszyscy tak mają. Wiem, co mówię – rzuciła szybko, widząc, że Joanna chce zaprotestować. – Po maturze pracowałam przez rok jako salowa. Chciałam zdawać na medycynę, zbierałam dodatkowe punkty, ale i tak nic z tego nie wyszło – pociągnęła zdrowy łyk koniaku. – Nieważne. Pamiętam starych ludzi, u których tygodniami nikt się nie pojawiał. Dopiero gdy było po wszystkim, zjawiały się dzieci. Syn albo córka, elegancy, wykształceni, zamożni. Chodził taki albo taka po oddziale i dopytywał się „Powiedźcie, jak umarł mój ojciec” albo „Jak umarła moja matka?”. Troskliwi, psia kość! – urwała nagle i zasłoniła usta dłonią, pojawiwszy, jaką strzeliła gafę. – Ojej, przepraszam, nie to miałam na myśli. Głupio zabrzmiało.

– To nic, to nic. – Joanna machnęła ręką. – Wiesz, sama się nad tym zastanawiałam na cmentarzu. Było mi głupio, że nie jest mi przykro. – Znowu napełniła kieliszki. – Czuć żal, że się nie czuje żalu. Cóż za paradoks. Doprawdy, zabawne.

– Widziałas, Rafał też przyszedł. – Barbara rozpaczliwie pragnęła zmienić temat.

– Kto?

– Rafał, przyjaciel Heleny. Chyba.

– Ten przystojniak w garniturze? – W głosie słysząc było szczere zainteresowanie. – Jak to „chyba”?

– A bo widzisz, to dziwna historia. Wiem, że przez jakiś czas się spotykali. Helena wspominała czasem, że idą do teatru albo na kolację. Raz czy dwa wyjechali nawet wspólnie na wakacje. Ale mieszkali oddzielnie. I rzadko pokazywali się razem. Na wszystkie imprezy Helena przy-

chodziła sama. Widziałam go kilka razy, przypadkiem. Ale nigdy nie zamieniłam z nim nawet słowa. Taki tajemniczy wielbiciel. A wiesz, jego też nie zawiadamałam. Popatrz, jak to się wieści rozchodzą!

Sączyły koniak, gawędziły. W końcu Barbara spojrzała dyskretnie na zegarek.

– Ojej, jak późno, muszę już iść. Do mnie stąd to niezły kawałek drogi.

– Nie martw się, odwiozę cię.

– Po tym?! – Spojrzała znacząco na opróżnioną do połowy butelkę koniaku. – Mowy nie ma!

– Masz rację – skapitulowała Joanna.

Przy drzwiach pożegnały się jak najserdeczniejsze przyjaciółki, choć znały się tylko kilka dni.

*

Po latach pracy w policji Pucki wiele potrafił wyczytać z twarzy rozmówcy. Właściwie w kryminalnym nie była to aż tak wielka sztuka, jakby to się mogło wydawać. Osobnicy o twarzach pokerzysty trafiali raczej do kolegów z gospodarczego, a i to tylko wtedy, gdy rzecz dotyczyła naprawdę grubych afer. Zresztą siedząca naprzeciwko niego sympatyczna blondyneczka nawet nie próbowała ukrywać emocji. Bo i po co? W szeroko otwartych, niebieskich oczach widać było mieszaninę uczuć typową dla osób, które po raz pierwszy zetknęły się z organami ścigania: ekscytacja, ciekawość i lekki niepokój.

Dziewczynę wezwał na przesłuchanie bardziej z obowiązku niż z rzeczywistej potrzeby. Przeczytał zeznania

spisane przez funkcjonariusza na miejscu zdarzenia. Typowy przypadek: kobieta mówiła dużo i chętnie, choć w rzeczywistości nie miała nic do powiedzenia. Chciała nie tyle pomóc, co chociaż przez chwilę znaleźć się w centrum uwagi. Przeżyć coś niezwykłego, o czym będzie mogła potem opowiadać znajomym przy piwie. Dla spokoju sumienia i żeby się przełożeni w razie czego nie czepiali, postanowił mimo wszystko porozmawiać z nią osobiście.

Barbara Brodzka... Urodzona... Zamieszkała...

Ciekawe, jak stosunek komisarza do tych rutynowych pytań zmieniał się z biegiem lat. Jako młodzik stawiający pierwsze kroki w zawodzie zadawał je z pełną powagą, przejęty rolą stróża prawa. Potem przyszła rutyna – zadawał pytania szybko, nie kryjąc zbyt wiele znużenia. Z czasem jednak, o dziwo, docenił uspokajającą rolę takiej rutynowej procedury. Te pytania to było coś, czego świadkowie się spodziewali. Sztampa znana z filmów i książek. Znane słowa, znane procedury. Rytuał. Dzięki niemu czuli się mniej obco. Świat stawał się znajomy, jeśli nie przyjazny, to przynajmniej mniej wrogi. Stres powoli ustępował, rozmówca rozluźniał się i stawał znacznie bardziej skory do współpracy. Bo jakoś tak jest, że nawet kryształowo uczciwy człowiek, gdy zasiądzie w pokoju przesłuchań, nabiera wody w usta. Na wszelki wypadek. Właściwie to dużo gadają tylko winni lub spragnieni pięciu minut sławy sensaci. O, tak, tym zazwyczaj usta się nie zamykają. Szkoda tylko, że tak rzadko z ust tych spływają słowa prawdy.

Twierdzi pani, że drzwi do mieszkania denatki były zamknięte? – Przeszedł w końcu do konkretów.

Tak, na pewno. Gdyby były otwarte, zapamiętałbym.

Czy to możliwe, żeby morderca ukrył się w mieszkaniu i wymknął już po pani przyjściu?

Popatrzyła na niego z przestrachem.

Skąd ten pomysł?

Widzi pani, to proste. Jeśli drzwi były zamknięte od środka, morderca musiał być wewnątrz. Biorąc pod uwagę stan, w którym znalazła pani zwłoki, możemy wykluczyć, że to denatka je zamknęła. A jeśli zostały zamknięte od zewnątrz, to cóż... wynika z tego, że zabójca miał klucz. W takim przypadku musiał to być ktoś znajomy. I to bliski.

Zastanawiała się przez chwilę. Pucki był zadowolony. Widział, że dziewczyna podchodzi do zeznań poważnie. Jeśli nawet nic do sprawy nie wniesie, to przynajmniej nie naopowiada głupot. Zawsze to coś.

Wie pan – podjęła rozmowę po chwili. – Teoretycznie ktoś mógł skorzystać z chwili, gdy poszłam do kuchni. Potem byłam dość mocno pogrążona w pracy, więc w zasadzie ktoś mógł zaryzykować i wymknąć się niepostrzeżenie, ale... – zawahała się, jakby jeszcze raz chciała rozważyć wszystkie za i przeciw – ...ale to mocno naciągane. Mieszkanie jest malutkie. Z dużego pokoju bardzo dobrze widać, co się dzieje w przedpokoju. Ten ktoś musiałby mieć stalowe nerwy i niebywałe szczęście. Nie, nie sądzę, żeby to było możliwe.

A czy zauważyła pani coś dziwnego? Nietypowego?

W jakim sensie dziwnego? – zapytała skonsternowana.

Coś co przykuło pani uwagę? Jakiś zapach albo dźwięk? Może coś stało nie na swoim miejscu? Może czegoś brako-

wało? Albo przeciwnie, zauważyła pani coś, czego tam nie powinno być? Nawet zupełny drobiazg może mieć znacznie.

Panie komisarzu! – Zaśmiała się. Śmiech brzmiał szczerze, radośnie. Nie było w nim ani cienia złośliwości. – To nie było moje mieszkanie. Owszem, często tam bywałam, ale specjalnie się nie rozglądałam. Gdyby chodziło o jakąś istotną zmianę... Bo ja wiem... Nowe meble, malowanie, gruntowny remont, może bym zauważyła. A i tego nie jestem pewna. Ale drobiazgi! Zresztą ze mnie kiepski obserwator. Gdy zajmę się pracą, mało co dostrzegam. Zwłoki w wannie zauważyłam dopiero po kilku godzinach, a to trudno nazwać drobiazgiem.

Nie da się pani odmówić logiki – odparł z lekką nutą sarkazmu.

Rzucił jeszcze kilka pytań. Zgodnie z przewidywaniami odpowiedzi nie wniosły nic nowego. Nie było sensu marnować czasu. Tak szybko, jak to tylko możliwe, uporał się z formalnościami. Na zakończenie, w przepływie kurtuazji, wylewnie podziękował Barbarze.

Bardzo pani dziękuję. Niezwykle mi pani pomogła informacjami o kluczu. To bardzo zawęziło krąg podejrzanych.

Nieoczekiwanie z twarzy kobiety znikł uprzejmy uśmiech. Zasepiła się. Czyżby wyczuła nieszczerłość w głosie Puckiego? Fakt, jej opowieści nic nie wniosły. O zamkniętych drzwiach wiedział z poprzednich zeznań. Po prostu chciał być miły.

Panie komisarzu – bąknęła przepaszającym tonem. – Nie chciałam pana wprowadzić w błąd. Dopiero teraz coś sobie uświadomiłam.

Słucham? – W sercu Puckiego zrodziła się iskierka nadziei. Czyżby jednak spotkanie nie poszło na marne? Czyżby coś sobie przypomniała?

Bo widzi pan, tam, w mieszkaniu Heleny był taki stary zamek. Chyba jeszcze z lat siedemdziesiątych. Aż dziw, że toto jeszcze działa. Yale. Samozatrząskujący. Zapamiętałam, bo u rodziców był taki sam. W dzieciństwie kilka razy siedziałam na wycieracze, czekając aż ktoś wróci do domu, bo zatrzasnęłam klucze w środku. Morderca mógł zrobić to samo – po prostu trzasnąć. Nie potrzebował klucza.

Pucki milczał. Nie dał po sobie poznać, że aż się cały gotuje ze złości. Już on powie technikom do słuchu, co o nich myśli! Banda leni! Patałachy! Jak mogli taki fakt pominąć! Grzecznie pożegnał Barbarę i dopiero, gdy za kobietą zamknęły się drzwi, z całych sił walnął pięścią w biurko. Pomogło. Wrócił spokój.

– A taka była piękna koncepcja – mruknął sam do siebie. Zdegustowany podreptał do kantyny. Powinni mieć coś chłodnego do picia.

Ostatnia sprawa
Copyright © Agnieszka Chodkowska–Gyurics
Copyright © Wydawnictwo Literate
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover photo by Artem Furman
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2019

druk ISBN 978-83-7995-384-4

epub ISBN 978-83-7995-385-1

mobi ISBN 978-83-7995-386-8

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Aleksandra Zok-Smoła

Korekta: Bożena Walewska

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Grafika na okładce: Aleksandra Bartczak

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@literate.pl

www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl



BLUES O KRWI I TRAWIE PAWEŁ CIEĆWIERZ

Nadię Wid i Ryszarda Zwierza połączyła sprawa zaginionej dziewczyny, która na krótko pojawiła się w życiu każdego z nich. On, mężczyzna z przeszłością, były bokser, obecnie mało znaczący śląski handlarz ziołem. Ona, kobieta z przyszłością, kiedyś najlepsza dziennikarka śledcza, obecnie celebrytka.

Czy poradzą sobie na śląskiej „ulicy”, na której seks, przemoc i narkotyki spotyka się częściej niż bezpłatne miejsca parkingowe? Czy są w stanie zaufać sobie na tyle, żeby wmieszać się w najbrudniejsze interesy? Co zmieni się, kiedy sprawa zaginionej dziewczyny nabierze kontekstu politycznego, a bardzo wielu ludzi poczuje się zagrożonych ich dociekliwością?

Istnieją miejsca, które piętnują duszę i serce. Istnieją zbrodnie, których nie można wybaczyć i zasady, których nie można złamać!

Ryszard i Nadia mogą ostatecznie liczyć tylko na siebie. Czy tyle wystarczy? Wierność ma w końcu swoją cenę, nieszczęśliwie wysoką w świecie dilerów i dziennikarzy.





FAZA REM AGNIESZKA SUDOMIR

Łódź, niegdyś Ziemia Obiecana, dzisiaj miasto pogrążone we nostalgii.

W bloku na Bałutach zamordowano studentkę. Na Julianowie przed swoim domem ginie bogaty lekarz. Morderca pozostawia na miejscach zbrodni fragmenty recept. Kiedy zostaje odnaleziona trzecia ofiara, media podejmują temat „Aptekarza” i w mieście wybuchają panika.

Komisarz Igor Blattner musi rozwiązać zagadkę pierwszego od wielu lat seryjnego mordercy w Łodzi. Atakowany przez media, naciskany przez przełożonych, borykający się z problemami w życiu osobistym i kryzysem wieku średniego policjant staje przed największym wyzwaniem w swojej dotychczasowej karierze.

Blattner kieruje się w pracy jedną prostą zasadą. Występek nie zasługuje na wybaczenie, a wyłącznie na sprawiedliwą karę. Czy jednak to credo pomoże czy utrudni mu złapanie mordercy?

Znakomicie nakreślone miasto jako tło i Igor Blattner – komisarz z krwi i kości, który musi się zmierzyć nie tylko z Aptekarzem, ale i własnymi demonami. Książka wciąga od pierwszej strony i nie pozwala usnąć aż do ostatniej.- **Michał Chmielewski**, autor *Złe i Indygo*

PIERWSZY TOM SERII MIASTO OBIECANE





PANACEUM AGNIESZKA SUDOMIR

Z nieba leje się żar, Łódź dusi się w kurzu, a komisarz Blattner walczy z własnymi demonami. W takich warunkach przychodzi mu prowadzić kolejne trudne śledztwo.

W jednym z apartamentowców policja odkrywa ciało pięknej młodej kobiety – uzdolnionej lekarki, której życie przypominało bajkę. W trakcie dochodzenia Blattner musi przyrzeć się środowisku neurochirurgów. Świątek wybitnych specjalistów okazuje się jednak bardziej hermetyczny, niż komisarz się spodziewał. Czy to specyfika zawodu, czy też pracownicy szpitala coś ukrywają?

Pojawiają się kolejne ofiary, a ślady zdają się prowadzić do znanego neurochirurga, niepodważalnego autorytetu w swojej dziedzinie. Nic tu jednak nie jest proste ani oczywiste. Rozwiązanie sprawy zaskakuje nie tylko śledczych, ale także środowisko medyków.

Wstrząsające lekarskim środowiskiem morderstwa, mylne tropy i niepozabawieni ludzkich słabości policjanci to świetne panaceum na wszelkie kłopoty. Przy tej książce zapomina się o całym świecie.
Hanna Greń, autorka serii *Śmiertelne wyliczanki*

DRUGI TOM SERII MIASTO OBIECANE





ZŁE

MICHAŁ J. CHMIELEWSKI

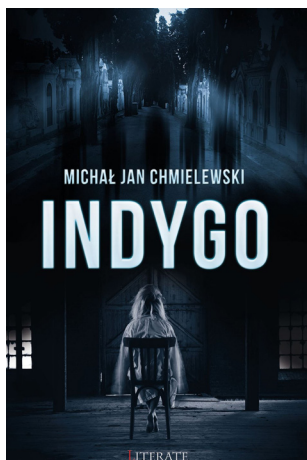
*Wystarczy, by dobrzy ludzie nic nie robili,
a zło zatriumfuje – Edmund Burke*

Baskin Zachodnie, miasteczko na polskim wybrzeżu, wydaje się zbyt małe, aby pomieścić całe zło, jakie się w nim dzieje. Zło czynione przez człowieka człowiekowi, gdyż w tym akurat przypadku niepotrzebna jest pomoc diabłów, demonów czy jakichkolwiek innych istot.

Jeden dzień z życia rodziny Jasińskich. Dwadzieścia cztery godziny koszmaru, jaki rozgrywa się w setkach miast, miasteczek i wsi. Andrzej – ojciec, alkoholik i oprawca swojej rodziny. Iwona – matka, ofiara przemocy domowej. Justyna, Kryspin i Michał – maltretowane i okaleczone psychicznie dzieci, dla których normalność to marzenie. Tomasz, Marcin i Krzysztof – mimowolni uczestnicy dramatu.

Polskie Fargo, bracia Coenowie nie powstydziłiby się tej opowieści.





INDYGO

MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI

W Baskin Zachodnim dzieci znikają bez śladu niemal od zawsze. Uciekają z domu czy są uprowadzane? Żyją czy umarły? Nikt nie wie, jaki spotykał je los.

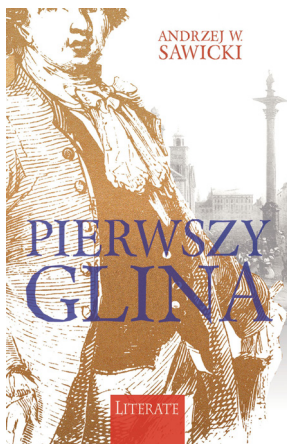
Nikt prócz Kusaka. Sadystycznego seryjnego mordercy, który je porywa i w bestialski sposób morduje. Równie wiele przyjemności jak torturowanie ofiar sprawia mu gra jaką prowadzi z lokalną społecznością i policją. Psychopata na co dzień przybiera różne maski: wzorowego obywatela, sympatycznego sąsiada, wolontariusza zaangażowanego w pomoc rodzinom ofiar. Karmi swoje ego ich cierpieniem, bezradnością i łatwowiernością. Czuje się bezkarny.

Los stawia jednak na jego drodze nietypowych przeciwników. Dwoje nastolatków połączonych tragedią i wspólnymi tajemnicami odkrywa, jaki los spotyka zaginione dzieci.

Nieprzygotowani wkraczają w świat dorosłych. Odnajdują prawdę, przyjaźni i miłość. Płacą za to wysoką cenę. Być może zbyt wysoką?

Michał Chmielewski zabiera nas ponownie do Baskin Zachodniego. „Indygo” to zupełnie inna opowieść niż „Złe”, ale równie prawdziwa, mocna i warta przeczytania!



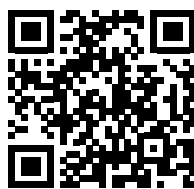


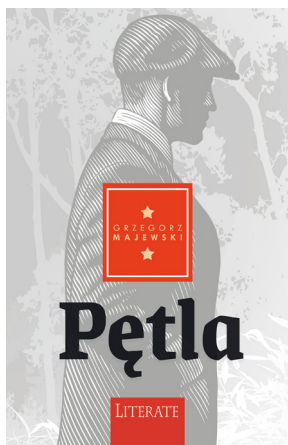
PIERWSZY GLINA ANDRZEJ W. SAWICKI

W grudniu 1807 roku spokojnym warszawskim Żoliborzem wstrząsa potężny wybuch, który niszczy pałacyk zajmowany przez oficera armii napoleońskiej. Policjanci z nowo utworzonego Wydziału Śledczego wszczynają dochodzenie, ale szybko zostają odsunięci od sprawy przez Francuzów. Nie dają za wygraną, bo Warszawa to ich miasto i zabójcy nie będą się tutaj szarogęścić. Szybko okazuje się, że afera sięga samych szczytów władz Księstwa Warszawskiego...

Kilka miesięcy później w swoim kantorze przy ulicy Gęsiej został brutalnie zamordowany Leopold Atalias, szanowany żydowski finansista, jeden z pięciu wekslarzy wybranych do ustalania kursów i stóp procentowych w Księstwie Warszawskim.

Czas, miejsce i narzędzie zbrodni wprawiają Glinę w konsternację. Wszyscy funkcjonariusze Wydziału Śledczego zostają oddelegowani do rozwiązania sprawy. Podejrzani są jednocześnie członkowie rodziny, wierzyciele, konkurencja zmarłego, a nawet agenci wywiadów Rosji i Prus. Nie da się również wykluczyć udziału ortodoksyjnych kabalistów lub religijnego motywu zbrodni.





PĘTLA GRZEGORZ MAJEWSKI

Jesień 1945 roku. W okolicach Przemysła oddział majora Kosy skutecznie przeciwstawia się sowieckiemu okupantowi. Partyzanci wysadzają budynek UB, odbijają wszystkich więźniów i mordują najwyższych rangą oficerów. Nie wiedzą jednak, że sukces ma swoją cenę, a wokół nich powoli zaciska się pętla.

W Warszawie powstaje specjalna grupa mająca za zadanie schwytać Kosę. Dowodzenie nad nią otrzymuje kapitan KBW Adam Nowacki, jeden z najlepszych agentów operacyjnych. Wspierać ma go oddział NKWD pod dowództwem majora Antona Bondarenki. Atmosfera jest napięta, a przymusowi sojusznicy gotowi pod byle pretekstem skoczyć sobie do gardeł.

Rozpoczyna się wyścig, kto pierwszy złapie osławionego partyzanta. Nowacki i Bondarenko mają swoje plany. Każdy z nich ma inny pomysł na wykończenia konkurenta.





SYN SWOJEGO OJCA DOMINIK SOKOŁOWSKI

W opuszczonym budynku na terenie Stoczni Gdańskiej zostaje brutalnie zamordowany Henryk Klimek alkoholik i recydywista. Wydaje się, że to kolejna zbrodnia na człowieku z marginesu, która nikogo nie obchodzi.

Prowadzenie śledztwa przypada doświadczonemu prokuratorowi Leonowi Szmitowi. Początkowo podejrzania kieruje on w stronę osób z kręgów, w których obracała się ofiara. Wiele wskazuje na porachunki

w półświatku. Eliminując kolejnych podejrzanych, śledczy trafia na trop prowadzący w zupełnie nieoczekiwaną stronę.

